

# ROLA.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.  
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.  
W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.  
W Galloy: Rocznie złr. 12.—Półrocznie złr. 6.

## PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

## Im wolno!...

Przed kilkoma tygodniami odśloniliśmy na tem samym miejscu sprawę deficytu kasowego na kolei warszawskoterespolskiej, omawiając zarazem tę dziwną i, dla nas przynajmniej, niepojętą... pobłażliwość, jaką zarząd kolei okazał względem winowajców. Nietylko ich nie pociągnął do odpowiedzialności przed sądami karnymi, ale owszem, jak o tem wspomnieliśmy w numerze poprzednim (1) — jednego z nich, b. „naczelnego buchaltera“ — żyda, wynagrodził przyznaniem pensyi emerytalnej z „Kasy zjednoczenia“, stanowiącej własność ogółu urzędników i oficyalistów.

Obecnie wracamy raz jeszcze do tych faktów — nie dla tego jednakże iżbyśmy mieli przywiązywać do nich jakąś wagę niezwykłą, i nie dlatego nawet, że zarząd, czyli właściwie główni akcyonariusze kolei, w całej tej sprawie, postępują tak, jakby byli przekonani najmocniej że im wszystko jest wolno, i jakby, na podnoszące się tu i owdzie protesty, chcieli odpowiedzieć: „i cóż nam zrobicie“? Nie o same te fakta, powtarzamy, nam idzie, ale o względy natury ogólniejszej. Nietyle już w tych faktach, ile raczej w sposobie ich traktowania przez ludzi stojących, bądź co bądź, na widowni publicznej, widzimy bardzo charakterystyczny objaw tej nieszczęsnej korupcyi moralnej, która nietylko przeciska się już wszędzie, ale i występuje na coraz szerszem, ogólniejszem tle, — a przeciw której walka i walka bez wytchnienia, jest w naszym przekonaniu jednym z najpierwszych i najświętszych obowiązków publicystycznych.

Toż rzecz o jakiej mowa dzieje się nie w domu lub kantorze prywatnym tego lub owego bankiera, ale w instytucyi poważnej, z charakterem publicznym, w instytucyi — co ważniejsza jeszcze — obsługiwanej przez tysiączne zastępy pracowników, którzy na ów przykład idący z góry patrzą oczyma własnymi i widzą co się dzieje.

A dzieją się właśnie rzeczy... wcale nie budujące i nie wpływające bynajmniej na ugruntowanie tych zasad moralnych, na których opiera się głównie zdrowie i siła społeczeństwa.

Bo streśmy tylko i zestawmy raz jeszcze one fakta:

W kasie instytucyi okazuje się brak kilkunastu tysięcy rubli. W tych czasach panowania „prądów pozytywnych“ zdarzenie to nie pierwsze i naturalnie nie ostatnie, zdarzenie, słowem, dość powszednie. Ale co już nie jest powszedniem, to zachowanie się — i bezpośrednich i głównych kierowników

onej instytucyi wobec jawnego nadużycia. Winnymi okazują się: pan „naczelnny buchalter“ i t. z. „płatnik“ — ci jednakże, przy tak zwanem „śledztwie“ przeprowadzonym przez „komisyę“ złożoną z kilku urzędników kolei, milczą jak zakłęci i na zadawane im pytania wcale odpowiadać nie chcą. Zdawałoby się, iż milczenie owo powinno by tem żywiej zainteresować p. p. głównych akcyonaryuszów, że więc tembardziej milczących winowajców należało przekazać badaniu sądowemu, dla wykrycia prawdy; a przecież stało się inaczej. Główni kierownicy kolei nie zainteresowali się bliżej ani tem zaniemówieniem winnych przy pierwotnem badaniu, ani nasuwającym się mimowoli w takich razach pytaniem: gdzie też rzeczywiście pieniądze się podziały? I pozwolono raczej na podrywanie powagi instytucyi, przez szerzenie się najrozmaitszych wieści, wersyj, domysłów..., aniżeli na oddanie sprawy tej sądom, gdzie prawda musiałaby wyjść na wierzch.

Szczególna to obojętność, osobliwa pobłażliwość dla... przენiewierstwa, a jednak nie tutaj jeszcze jej koniec. Usunięty z posady — wobec całej już jawności faktu — pan „naczelnny buchalter“ występuje o nagrodę za w i e r n ą swoją służbę, a panowie akcyonariusze, wobec zwłaszcza przychylnego głosu samego dyrektora kolei, dają mu ją w formie emerytury mającej się wypłacać i już wypłacanej (!) — nie z funduszów atoli Towarzystwa kolei, lecz z Kasy zjednoczenia, to jest z Kasy mającej zabezpieczać starość biedaków wysłużonych, łagodzić dolę wdów i sierot. Pogwałcono nietylko najprostsze pojęcie sprawiedliwości, ale i najwyraźniejsze paragrafy ustawy tejże Kasy, a wynagrodzono człowieka popełniającego... sprzeniewierzenie kasowe!

Fakta to zbyt jaskrawe, a jednak jaskrawsze stokroć i stokroć głębiej sięgające mogą być ich konsekwencje, o które przedewszystkiem idzie nam w tej chwili. Bo co wobec takiego postępowania głównych organów instytucyi, pomysleć mogą wszystkie inne? Co na taki, idący z góry, przykład powiedzieć sobie może cały a liczny zastęp t. z. służby niższej? Co ten zastęp powstrzymać może od nadużyć służbowych, jeżeli on widzi że tam, u góry, jedna i n t e l l i g e n c y a popełnia nadużycia kasowe, a druga je — nagradza? Doprawdy, dla owej korupcyi, o której wspomnieliśmy na wstępie, bardzo szerokie, w ten sposób, wyżłabia się koryto!

A jednak, — jesteśmy najmocniej przekonani, — do takich pięknych rzeczy w prywatnych naszych instytucjach, czyli właściwie w znanej nam już z kądinąd gospodarce finansjery warszawskiej nie mogłoby dojść nigdy, gdyby opinia i jej przedstawicielka — prasa nie mówiły: i m w o l n o !

Gdzie to powiedziane? — spytacie. Nigdzie i wszędzie. Nigdzie, bo do tak wyraźnego cynizmu i bezwstydu nie

(1) Patrz feljeton: „Na posterunku“.

doszło jeszcze w prasie;—wszędzie, bo na każdym kroku spotykamy to charakterystyczne milczenie jakim się osłaniają czyny plutokracji żydowskiej—godne publicznego karcenia i piętnowania.

Niema w kraju naszym ani jednej warstwy ludności któraby w organach prasy polskiej (!) cieszyła się tak szerokim przywilejem bezwzględnej bezkarności, jak ta właśnie, którą publicyści żydowscy, plując w twarz naszemu społeczeństwu, nazywają „obywatelami“, „dobroczyńcami“, „podskarzbimi“ narodu!

Są pisma gotowe zawsze do „piętnowania“ najmniejszego bodajby przewinienia rolnika, ziemianina; są krytycy (!) od zohydzenia duchowieństwa; surowej bardzo często naganie ze strony lada reportera podlega nasz stan rzemieślniczy; ale działalność naszych (!) sfer finansowych, od wszelkiej kontroli publicznej jest zupełnie wolną.

Prosimy przejrzeć roczniki wszystkich tych pism warszawskich które z zasady pod swój „skalpel krytyczny“ biorą wszystko i wszystkich — i prosimy wskazać nam choćby jeden artykuł z naganą dla przedstawicieli giełdy, kolei, banków i t. d. Wszystko to nietykalne. I choćby się działa największa krzywda ogółowi, choćby na wyzysk i nadużycia, na zmywy klik w stosunkach kredytowych, rozlegały się wśród chrześcijańskiej publiczności najsluszniejsze skargi, nie usłyszy ich żaden z organów „poświęconych krytyce spraw społecznych“.

Nie wiemy czy to jest takie nieczne tchórzostwo, czy taki straszny upadek charakterów i poczucia prostego obowiązku, dość że tej to właśnie wyjątkowej u nas pobłażliwości prasy dla mocarzy złota i giełdy należy przedewszystkiem przypisać to rozszerzenie się w „naszych instytucjach prywatnych“ prądu rozkładowego. Nie przeczymy, iż może to leżeć nawet w interesie tych, którzy rozumieją dobrze, że im bardziej dana społeczność jest zdemoralizowana, tem łatwiejszym staje się jej wyzysk, i tem łatwiej z nią można sobie dać radę; ale czy leży w interesie dobra i istnienia naszego — zamykać na to oczy?

Szerzy się tedy ów prąd z całą swobodą, zakazając coraz szersze koła społeczne, bo nie ma, pod tym względem, zdrowej i silnej opinii, któraby go była zdolną powstrzymać.

I doszło już do tego, że „podporządkowywacze“ kasowi, zamiast kary przewidzianej kodeksami karnymi, pozyskują nagrody, wypłacane bodajby z sierociego grosza. Tak chcą „podskarbiowie narodu“; tak chcą i mogą, bo przy na-

szem zwłaszcza zasłepieniu i obłudzie assimilacyjnym— i to nawet im wolno!

## Polemika w sprawie Muzeum Pszczelniczego.

(Artykuł nadesłany.)

Pomimo że komisya rewizyjna, wezwawszy biegłych do oszacowania majątku spółki pszczelarskiej, wykazała iż majątek ów z 40,000 rs. zmniejszył się do 7,000 rs.; że gospodarka p. Lewickiego w pasiekach doprowadziła je — z 1,326 do 150-ciu ulów; że rachunki są raczej dziełem fantazyi, nie zaś rachunkami w ścisłym tego słowa znaczeniu; — pomimo wreszcie że komornik ciągle robi zajęcia na rzecz wierzycieli Muzeum; pomimo to wszystko, mówię, pan K. Prószyński, redaktor „Gazety Świątecznej“, nie przestaje utrzymywać w błędzie czytelników swego pisma. Owszem i teraz jeszcze upewnia on w N-rze 280 swej „Gazety“, że p. Lewicki, dyrektor Muzeum, „dużo pieniędzy wpakował w skarbiec pszczelniczy“. O tych zaś, którzy przedstawiają rzecz w naturalnem jej świetle, powiada: „Już od lat dwóch, czy więcej, byliśmy świadkami, jak kopano dołki pod Muzeum pszczelnicze i szkodzono mu rozgłaszaniem przesadnych, błędnych, lub wprost fałszywych wiadomości“. A że pan redaktor pisma ludowego głównie tu o mnie mówi, gdyż ja to pierwszy w pismach warszawskich („Rola“ 1884 r.) zacząłem występować przeciwko czysto handlarskiemu i spekulacyjnemu kierunkowi Muzeum, jak również fałszywym teoryom głoszonym przez p. Lewickiego, którego najsilniej popierał, a teraz najgorliwiej broni p. Prószyński, — przeto owe zarzuty „fałszu“ wprost do mnie są wystosowane.

Wobec tego, nie pozostaje mi, jak wskazać źródło, z którego czerpałem owe wiadomości; o ile zaś są one fałszywe, albo raczej kto rozsiewał i rozsiewa „fałsze“, osądzą sami czytelnicy, oceniając zarazem postępowanie kierownika oświaty ludowej, który nawet w ogłoszeniach płatnych pism codziennych szykanuje kapłana.

Otóż w N-rze 206 (r. 1884) „Gazety Świątecznej“ — która, jak sam jej kierownik zapewnia, „podaje stale rady i wiadomości dla pszczelarzy, spisywane dokładnie według słów szanownego założyciela Muzeum“ — w artykule pana Prószyńskiego p. t. „Nasze pszczelnictwo“, czytam: „Rozkupili oni (t. j. różni ludzie) do tej pory 13,800 ulów wyrobionych w Muzeum... zaś samych blach odgradowych bez ulów rozebrano 12,265“.

A dalej jeszcze: — „Muzeum pszczelnicze posiada w Warszawie i w innych miejscowościach 19 własnych pasiek, a w nich 1,326 (wyrażnie tysiąc trzysta dwadzieścia sześć) ulów z pszczołami“...

„Taka—czytam znowu—obfitość miodu (67 fun. z ula)

sali, przeznaczonej dla reporterów, i pokrywa drobnem pismem długie skrawki papieru. Każdy taki pasek sprawi wieczorem całym tysiącom niesłychaną przyjemność, bo każdy zawiera ciekawą plotkę, pikantny wypadek, lub straszne zdarzenie.

Pan Kościelnicki jest mistrzem w sztuce reporterskiej. Król to wszystkich brukowych dziennikarzy, wietrzących po mieście nowinki. Nic uszom jego nie ujdzie, wie on o wszystkim. Oto wczoraj w nocy upiło się kilku łobuzów i rozbiło latarnię! Panu Kościelnickiemu donieśli jego pomocnicy, młodszy reporterowie, o tym „fakcie“, a on zrobił z niego zaraz „nowelkę“. Oto spadł ktoś ze wschodów i zwichnął sobie nogę, a pan Kościelnicki stworzył z tej wiadomości dramat z niewiarą małżeńską i t. d. i t. d.

Bo któryż prawdziwy reporter podałby rzecz tak, jak się w istocie wydarzyła? Tylko fuszer dopuściłby się takiej niezręczności. Każdą wiadomość trzeba umieć odpowiednio przyrządzić.

O, bo ta publiczność lubi „nowelki“ o morderstwach, o wiarołomstwach, o zbrodniach tajemniczych, publiczność przepada za „ciekawymi“ wiadomościami, więc gdy ich dzień poprzedni nie dał, trzeba je stworzyć, wymyślić. Jedyny pan Kościelnicki umie wysnuwać z głowy okropności, których nie było. Przeto jest wielce cenionym we wszystkich redakcyach pism brukowych, a „nowelki“ jego płacą się na

## „NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

„Machali“. Najwięcej spieszył się sprawozdawca polityczny, niski, pękaty człeczyna z dużą głową i dużą czupryną. Położywszy się prawie na stole, pisał zawzięcie. Jego przecież czytają ludzie najchętniej. Polityka! Urocze słowo! Wszyscy dorożkarze warszawscy, wszystkie kucharki, sylabizujące „Zwiastuna“, zanim go oddadzą państwu, podziwiają rozum pana Mętnickiego, który przemawia tak uczenie i kwieciste, a posługuje się tak nadzwyczajnymi porównaniami i przenośniami, że go rzadko kto rozumie. Nic to jednak gazecie nie szkodzi. Śmieją się literaci i publicyści z napuszystości pana Mętnickiego, ale publiczność uwielbia jego dziwaczną mądrość, bo publiczność uwielbia zawsze tych, którzy ją bawią, lub których nie rozumie.

Prenumeratorem „Zwiastuna“ zachycają się także „nowelkami“ pana Kościelnickiego. Siedzi on w wielkiej

może kogoś zadziwić, ale w pasiekach urządzonych według sposobu p. Lewickiego jest to rzeczą zwyczajną.

W N-rze 199 „Gaz. Świąt.“ z roku 1884, w artykule: „Pasięka w Łazienkach królewskich w Warszawie“, czytamy. „Wypada więc, że każdy rój średnio dał zysku 16 rs. 19 1/6 kop.

Wreszcie w N-rze 188 z r. 1884, w artykule: „Gospodarstwo w pasiece Willanowskiej“, powiedziano: pokazuje się, że 28 roi, które byłyby marniały bez dozoru w różnych ulach, dały czystego zysku 533 rs. 30 kop., t. j. 19 rs. 4 kop. z jednego ula.

Z powyższych tedy cyfr przyszedłem do przekonania, 1) że pan Lewicki do 2 (14) Grudnia 1884 r. miał czystego zysku ze sprzedaży ulów 27,800 rs.,— a ze sprzedaży blach odgradowych 6,132 rs. 50 kop. Dochód zaś z pasiek w 1884 roku, obliczając nie już po 16 ani 19, lecz tylko po 10 rs. z jednego ula, stanowi 13,260 rs.

Tym przeto sposobem, to jest na podstawie wskazówek i cyfr podanych w „Gazecie Świątecznej“, wpłynęło do „skarbcza pszczelniczego“ 47,192 rs. 50 kop. A ponieważ p. dyrektor Muzeum i po 2 (14) Grudnia 1884 r., to jest w 1885, 1886 i 1887 r. miał również czyste i okazałe zyski, a dotąd nie dał akcyonaryuszom grosza dywidendy, która całkowicie, jak głosi p. Prószyński w swej „Gazecie“, obróconą została na powiększenie obrotowego kapitału i majątku spółki, który znowu, jak i o tem już wiemy, z 40-stu zmniejszył się do... 7-miu tysięcy rubli— przeto nietylko ja, lecz każdy kto czytał uważnie „pisanie“ p. Prószyńskiego, nie uwierzy dowodzeniu p. redaktora, jakoby pan Lewicki „dużo swoich pieniędzy wpakował w skarbiec pszczelniczy“. Przeciwnie, każdy z czytelników umiających tylko myśleć i liczyć, musi przyjść do tego przekonania, 1) że pan L. zgarbia do własnej kieszeni pieniądze akcyonaryuszów, a nadto, że pan redaktor pisma ludowego nietylko nie zabiera głosu, widząc „iż jakaś publiczna niesprawiedliwość się dzieje“, lecz, publikując reklamy pana Lewickiego, najczynniejszy (patrz N-ra 380 i 388 „Gazety Świąt.“) przyjmuje w niej udział; 2) że kto twierdzi, iż w ulach pana Lewickiego 67 funtów miodu (13 rs. 40 kop.) „jest rzeczą zwyczajną“— nadto, kto w zwyczajnych warunkach wykazuje dochód z jednego ula 16 i 19 rs.— ten jest tylko, mówiąc szczerze, zwykłym blagierem, nie zaś pszczelarzem, a drukujący takie rzeczy jest właśnie onym sprawcą „rozsiwania fałszu i przesadnych wieści“.

Tyle w obronie prawdy i słuszności. Po takim zaś wyjaśnieniu, czytelnicy sami już osądzą jakiej sprawy jest w tym razie obrońcą p. Prószyński i u kogo z nas „w piśniu nie ma nic, tylko słów dużo“.

*Książdź Juljan Jakubowski.*

równi z utworami literackimi. Żaden uczony polski, żaden publicysta nie zarabia tyle, co pan Kościelnicki.

Nie potrzebuje on spokoju do swojej pracy. Trzydzieści osób może rozmawiać w sali, a on ani drgnie. Pochylony nad biurkiem, pisze i pisze bez końca.

W tej chwili „komponuje“ właśnie jakąś straszliwą opowieść z nożami, cepami, z kilkoma trupami i nie słyszy ani słowa z głośnego spora, jaki wiodą między sobą naczelny redaktor „Zwiastuna“, pan Zagrodowski, z panem Milskim. Usiedli sobie w kącie, przy małym stoliku i grają w szachy.

— Ja koledze pokażę, co to znaczy zabierać majstrom konika—wołał Zagrodowski, cały zaperzony.

— A dla czego redaktor nie pilnuje swoich skoczków? Co na placu to nieprzyjaciel. Baczność, bo schwyćę drugiego.

— Oho, zobaczymy, kto komu co schwyeci.

— Niech redaktor uważa, bo łapię.

— Dajże kolega pokój, niech się namysłę. Zawsze sobie obiecuję, że nie będę grał z młodzikami, i zawsze zapomnę. Łap, cap, w gorącej wodzie kąpani...

— Jeżeli redaktor ładnie poprosi...

— Proszę, jaki pyszny! Właśnie że nie poproszę...

— To mam go już w garści. Szach królowi!

— Czy to warto grać z fuzerami? Fuzerom zawsze szczęście służy.

## FRANCYA ŻYDZIAŁA.

### STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

KSIĘGA VI.

Prześladowanie żydowskie.

I.

Wolni mularze.

Wojna z katolikami.—Prawa wolnej myśli.—Specjalny charakter prześladowania.—Żydowski początek wolnomularstwa.—Przezroczyta allegorya.—Świątynia Salomona.—Swawolne kuplety.—Judyta.—Synowie wdowy.—Bankier prześladowca.—Cousin, prezes Rady Najwyższej.—Słomiany człowiek Rotszyldów.—Występna słabość niektórych katolików. Jak się rekrutują wolni mularze.—Tirard i konwersya.—Lekkomyślność niejakiego Lowtona.—Kopalnie złota w Uragwaju.—Pogrzeb masonski.—Guillot czyli mędrzec grecki.—Cnoty mera miasta Brestu.—Przyjemny minister handlu.—Wolnomularstwo w więzieniach.—Czciciel słońca.

Wojna z katolicyzmem, z wiarą większości francuzów, nie była wcale rewindykacją praw wolnej myśli. Deklamatorowie, twórcy systemów, geniusze upadłe przez ironię albo zaćmione pychą, wolni myśliciele wszelkich odcieni, nie mając nic wspólnego z tymi nędznikami, którzy wyrzucają starca z jego własnego domu dlatego że nie myśli tak jak oni, albo którzy kradną chleb biednemu księdzu. Littré, nawet przed swem nawróceniem, Vacherot, z oburzeniem protestowali przeciw tym podłościom; spytajcie Juliusza Soury co myśli o ludziach takich jak Constans albo Cazot, a zobaczycie co wam odpowie.

To była nie rewindykacja, ale prześladowanie trzech religij, chcących zgnębić czwartą. Jeżeli żydzi, zmieszani z wolnymi mularzami, odznaczali się szczególną nienawiścią przeciw Temu, którego ukrzyżowali, jeżeli stali na czele ruchu, jeżeli dzięki swoim dziennikom, rozsiewali garściami najnikczemniejsze potwarze, to dzielnie też dopomagali im protestanci, którzy, w rozbracie z wszelką logiką, mieli pretensye do Chrystusa za to, że zawinili przeciwko niemu.

Na chwilę musimy się zastanowić nad wolnomularstwem. Nie mamy wcale zamiaru studyowania go szczegółowo, — inni to zrobili przed nami; chcemy tylko uwidocznienie semicki charakter tej instytucji i określić bliżej formę jaką ono przybrało dzisiaj.

Żydowski początek wolnomularstwa jest oczywisty i nie można nawet żydów oskarżać o wielką hypokryzję

Zagrodowski drapał się w siwą czuprynę, pocierał białą brodę i medytował.

W tem wpadł do sali zastępca Zagrodowskiego, blondynek, który zadziwił Bolesława swoją wszechstronnością.

— Na pomoc, redaktorze, na pomoc!—wołał.

— O dla Boga! cóż się znów stało? krzyczysz, panie Zborowski, jakgdyby ci kto skórę obił.

— Cóż ma być? — odparł Zborowski. — Kościelnicki znów coś zmalował, jak zwykle.

Kościelnicki podniósł głowę i słuchał.

— Popisał jakieś androny i wymienił kilka nazwisk, między którymi znalazło się miano jakiegos szlachcica. Szlachcie rzuca się w moim gabinecie i wrzeszczy, jak u siebie, na podwórzu i grozi grubym kijem.

— Po co tyle wrzawy — odezwał się Kościelnicki. — Sprostuje się i rzecz skończona. Czy to pierwszy raz, albo ostatni?

— Sprostuje się i rzecz ubita, sądzisz pan, — mówił Zagrodowski — a zapominasz, że kilkadziesiąt tysięcy ludzi czytało owo nazwisko.

— Przeczytaj także sprostowanie — odpowiedział Kościelnicki.

— Czy jesteś pan pewnym, że wszyscy? A gdyby tylko dziesięciu nie dostrzegło sprostowania, to oczerniłeś pan przed nimi niewinnego człowieka. Ileż razy mówiłem panu,

w tym względzie. Nigdy cel jaśniejszy nie był wskazany przezroczyście allegoryą. Trzeba było całej naiwności aryjczyków, żeby nie zrozumieć, że wzywając ich do łączenia się w ce'u obalenia starego społeczeństwa, a odbudowania Świątyni Salomona, używano ich do zapewnienia tryumfu Izraelowi.

Otwórzmy którykolwiek rytuał, a wszystko zagada do nas o Judei. *Kadosz*, najwyższy stopień, znaczy *święty* po hebrajsku. Jest tam świecznik siedmioramienny, arka przymierza, stół z drzewa akacyowego, słowem nic nie brakuje do figurycznego odbudowania Świątyni. Rok wolnomularski jest wzorowany na roku żydowskim; kalendarz żydowski nosi datę 5446 r. od stworzenia świata, kalendarz wolnomularski r. 5884. Miesiące masonskie są miesiącami żydowskimi: *adar, veadar, nissan, iyar, sivan, tammuz, ab, elul, tiszri, heszwan, kislew, tebeth, shebat*.

Dość otworzyć „Rocznik obedyencyj z efemerydami masonskimi“ B.: Piotra Malvezin, ażeby się przekonać, że B.: Hebrard, dyrektor dziennika „Temps“, urodził się d. 1 Stycznia 1834, w 11-ym miesiącu masonskim, t. j. w miesiącu *tebeth*; B.: Compayré przyszedł po nim, dnia 3 tegoż samego miesiąca. B.: Juliusz Claretie urodził się d. 3 miesiąca *kislew*, odpowiadającego 3 Grudniowi.

Dzień 3 Grudnia jest rocznicą bitwy pod Hohenlinden ale u masonów, w których zamarł wszelki patriotyzm, urodziny lub śmierć jednego z Braci ma daleko większe znaczenie od największych wypadków dziejowych. W dniu 19 Maja, w rocznicę bitwy pod Rocroy, oni obchodzą rocznicę zgonu B.: Delord, redaktora dziennika „Siècle“, a 20 tegoż miesiąca, w dniu śmierci Krysztofa Kolumba, święcą urodziny B.: Rochelant, adwokata paryzkiego.

Czyż to nie wstyd człowiekowi takiemu jak Juliusz Claretie, który jest pracownikiem na seryo, który posiada talent nie świetny wprawdzie ale rzeczywisty, dla miłości kilku więcej reklam, łączy się z tą bandą złowrogą, która wszędzie zastawia pułapki na naszych biednych księży?

Powiecie mi, że to posłużyło panu Claretie w dziennikach, a uczyniwszy go dyrektorem Teatru Francuzkiego, nie przeszkodzi mu wejść do Akademii; owszem przeciwnie. Katolicy będą głosowali za b. redaktorem dziennika „Temps“, zamiast dać swoje głosy jakiemu dzielnemu człowiekowi, któryby usiłował bronić wiary przodków. Niech będzie jak chce! na miejscu pana Claretie rumieniłbym się, widząc się w takich efemerydach w towarzystwie B.: Lyon-Allemand'a, urodzonego d. 7 miesiąca *ab*, i B.: Cazot'a, urodzonego d. 11 miesiąca *shebat*.

Sławny frazes, jaki zamieniają między sobą wtajemniczeni, a który p. Andrieux obrócił w śmieszność: „akacya jest mi znana“, wiąże się również z najstarszymi tradycjami żydowskimi. Akacya — odpowiada jeden z masonów na zapytanie umieszczone w piśmie „Intermédiaire“ — jest złotą gałązką inicjacji nowożytnej; dla tego to i przez to jest się masonem, gdy się przeniknęło tajemnicę. Według Pisma Świętego, drzewo to, nazywane częstokroć *shittah* (w liczbie

abyś się wystrzegaj nazw miejscowości, imion, abyś nie wskazywał ludzi palcem. Mamy ciągle nieprzyjemności z łaski pańskiej.

— Redaktor mówi tak, jakgdyby nie wiedział, że publiczność lubi daty—bronił się Kościelnicki.

— O, ta publiczność! — mruknął Zagrodowski podnosząc się z krzesła.—Z jej łaski musimy znosić zuchwałstwo takich pisarków.

— Ale ten szlachcic, cóż z nim zrobić?—zapytał Zborowski.—Porozbija mi wszystkie sprzęty w gabinecie.

— Idę sam do niego.

— A ja przypatrzę się z progu awanturze—odewał się Miłski,—może pochwyć kilka rysów do jakiej powieści.

W gabinecie redaktorskim szumiał rzeczywicie mężczyzna olbrzymiego wzrostu, nie szczędząc wcale słów jędrnych.

— A lotry, ja im dam, nauczę ich moresu—wołał, kiedy Zagrodowski wchodził do pokoju.

Stanąwszy za biurkiem, zapytał naczelny redaktor uprzejmie:

— Czem mogę panu dobrodziejowi służyć?

Szlachcic, ujrawszy przed sobą starca przemawiającego grzecznie, zamilkł. Po chwili jednak wybuchnął powtórnie.

mnożej *shittim*), uważane było za święte u hebrajczyków; z rozkazu Mojżesza przybytek, arka przymierza i wszystkie sprzęty religijne były z tego drzewa robione, a prorok Izajasz zalecał żydom, po powrocie z niewoli, aby pamiętali szczepić na pustyni cedry i akacye (*shittim*), których korzyści i przyjemności powinni znać dobrze.

Przyjrzyjcie się, jeżeli chcecie, rycinom starego rytuału wysokich stopni, a ujrzycie tam wszystkie symbole Starego Zakonu. Ujrzycie tam Mojżesza i Eliasza wychodzących z ognistego obłoku, podczas gdy na wstędze stoi napis: „Zwróć wolność jeńcom“. Hasłami są tutaj *Judasz i Beniamin*. Ciągłe jest tam mowa o Adonai, o źródle Siloe, o Zorobabelu, który przychodzi także domagać się aby zwrócono wolność jeńcom i aby im pozwolono pójść odbudować Świątynię ich Boga.

Rozpatrzenie się w ceremoniale przyjęcia, a zdawać się wam będzie, że jesteście w Jeruzolimie.

„*Pyt.* Bracie najszanowniejszy, pierwszy Nadzorco, czy jesteś Wielkim Architektem?”

„*Odp.* Potężny Mistrzu, widziałem wielkie światło w trzecim apartamencie.

„*P.* Gdzie przyjęty zostałeś na Wielkiego Architekta?”

„*O.* W wysokim miejscu i w Izbie środkowej.

„*P.* Dla czego ją tak nazywasz?”

„*O.* Gdyż to jest miejsce, w którym Salomon pracował nad planem Świątyni z Nadintendentem robót.

„*P.* Czem zajmujesz się na stopniu Wielkiego Architekta?”

„*O.* Budowaniem ostatniego budynku czyli trzeciego gmachu, który stanowi szczyt budowli, wznoszeniem Przybytków i zaopatrywaniem ich w ozdoby cenne i poświęcone.

„*P.* Jakie są te ozdoby?”

„*O.* Arka przymierza, którą dźwigają dwaj Cherubini, okrywający ją swemi skrzydłami, Stół spizowy, Stół całopalenia, Stół chlebów i Świecznik siedmioramienny.

„*P.* Co zawiera w sobie Arka przymierza?”

„*O.* Stekonnę, który sam umieścił się między Cherubinami, okrywającemi ją swemi skrzydły w Sanctissimum, w dniu Poświęcenia, w którym obwieszczał swoje prorocтва.

„*P.* Jakie było najglówniejsze z praw, które nadał Stekonna?”

„*O.* Prawo dane na górze Sinai, przechowywane potem w Arce, i które jest pierwszym prawem pisanem.

„*P.* Daj mi znak tego prawa.

„*O.* Daje się go podnosząc obie ręce na głowę, z otwartymi palcami, co jest symbolem dziesięciorga przykazań.

„*P.* Pod jaką postacią przedstawiają Stekonnę.

„*O.* Pod postacią baranka spokojnego, leżącego, spoczywającego na Księdze Siedmiu Pieczęci.

„*P.* Z jakiego drzewa zbudowana była Arka?”

„*O.* Z akacyi, drzewa nie podlegającego zepsuciu, ozdobionego blachami złotemi.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

— Bo proszę pana — czy to kto słyszał — do czego to podobne... takie oszczerstwa... wymieniać cudze nazwiska... rzucić na ludzi podejrzenie...

Obrażony miał słusność. Kościelnicki opisał jakiś napad rozbójniczy, który należał do bajek, zacytował miejscowość i kilka nazwisk. Przypadek zrzucił, że wskazana wieś należała właśnie do owego szlachcica, a i jedno z nazwisk było jego własnością.

Zagrodowski, chociaż wiedział, że Kościelnicki skrewił, kazał sobie dla zyskania na czasie podać rocznik „Zwiastuna“. Niby szukał niefortunnego artykułiku, a właściwie chciał szlachcica zatrzymać: niech najprzód ochłonie!

Ale wieśniak podnosił głos coraz wyżej, i groził...

— Przyznaję, stała się panu krzywda — wyrzekł Zagrodowski.—Stało się to przez omyłkę, wiadomość sprostujemy zaraz jutro.

— Co mi tam sprostowanie, ja nie chcę sprostowania...

I z ust szlachcica trysnął znów potok słów tak silnych, że Zagrodowski zaczął tracić cierpliwość. Nagle błysnął w jego oczach uśmiech wesoły. Zadzwoił.

— Niech tu Jędrzek zaraz przyjdzie! — rozkazał wóźnemu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## OPOWIADANIE.

przez Autorkę „Opowiadań“.

(Dalszy ciąg.)

Ciszę snu ogólnego, przerywał monotony szum i miarowe tarkotanie maszyny w browarze; tam czuwali jeszcze, maszyna stawać nie mogła dla wywczasu ludzkiego.

Stanisław wsłuchiwał się w ten szum i w to tarkotanie.

— Jak oni pracują! — pomyślał. I roztkliwił się nad dolą nieszczęśliwych, dla których nawet noc nie daje spoczynku. Biedni, biedni, biedni!... powtarzał, a potem szeptał: biedny, biedny! I znów myślą podjął to, co go tak strasznie rozboleło.

Nagle usłyszał głos: „*Wie geht es Goetlieb! kommen wir jetzt zusammen ein Glas leer trinken! Bier, oder Schnaps, was du willst.*”

Drgnął Stanisław, ten głos niespodziany, te wyrazy obcej mowy przestraszyły go.

— Och! to wy, dobry panie praktykant, ja nie poznałem was na dalekość, ja wartowałem na mojego *Freunda* Gotlieba, a wy tak *szwingewali* rękami, rychtyg on, — mówił, stojący nieopodal chłop szlązki.

Stanisław znał go dobrze, był to jeden z parobków na fermie, zwał się Kacper Jama, niemcy przezwali go Katzem Jammern. Ileż to razy, przy robocie na polu, w stodółach lub w szpiclerzu, Stanisław rozmawiał z nim, a chociaż pod naciskiem niemieckiego żywiołu, Jama zatracił nieco czystość ojczystego języka, wszelako dźwięki przypominające swoich, miłe były dla ucha praktykanta z Poznańskiego. Praktykant lubił szlązaka, łączyła go z nim sympatya plemienna; zresztą Kacper był pracowitym i dzielnym chopcem.

To zrazu niemieckie, później polskie, z naleciałością niemiecką — odezwanie się szlązkiego chłopca, targnęło sercem Stanisława.

— Biedny ty, biedny Kacprzel — zawołał rozżalony i ujął za dłoń Jamy.

— Och! tak, bardzo biedny — powtórzył Kacper. — Ale zkaż pan praktykant wie o mej zgryzocie? chyba od inspektora... Człek zarobił trocha talarów... myśli trza do swoich wrócić... niedalekość Zgorzelic matkę mam... nie zagładnę do niej... czasu nie dadzą... trza *beglejtować* regiment... Z kim oni teraz będą *Krieg* wiedli!... Austryaków pobili... ze sześć dużych, z piętnaście małych gatunków niemców pobili... jeszcze im mało?... My na Szlązku nie niemcy, broń Jezus Chrystus!... ale są tam i niemcy... oni wszędzie są... fabrykanty, kupcy, spekulatory także niemcy, albo żydy...

Drgnął znowu Stanisław. Smutny głos szlązaka zmuszał go do porównania swej doli, z dolą głodnych i sponiewieranych współbraci. Czemże był ból jego w obec długoletniej nędzy tych braci, którzy z religijną ezcją przechowali w sobie pamięć słowiańskiego pochodzenia, i będąc bez środków obrony, bronili się od zagłady duchowej, krwią serca? A przecież głód zubożał ową krew... szlązacy często puchli z głodu.

— Wy nic nie odrzekliście panie, praktykancie, ale ja wiem, że wy, nasz brat. Widzi pan, mysmy jednego rodu, trzymajmy się kupy! A, niemców duża *Heerda*; zasię po ostatnim *Kriegu*, dziesięcioro ich tyle, jak było, aż strach! Ponoć wywędrujecie ztąd, panie, niedługo, a macie tam w Poznańskiem własną ziemię, pamiętajcież o tem, że ziemi trza się rękami i nogami trzymać! U nas niemcy pany, bo nasi panowie wyzbyli się z ziemi, ale lud nie!... Oj, Bogac pocieszenie! Ja tu gadam, a pan praktykant drży od zimna. Dobranoc panu, idźcie do stancyi, bo chłód jakoś. Jutro przyjdę raniusko pożegnać pana, a jeszcze z Gotliebem trza się dziś rozmówić, on także ma *Befehl*. Idę do *Freiwohningu*, tam go zaś znając muszę.

Z temi słowy oddalił się, biedny pruski landwerzysta.

## III.

Po spotkaniu się ze szlązakiem na podwórku fermy, rozpacz Stanisława za straconą dla niego Jadwisią nie wybuchnęła już wprawdzie w konwulsyjnym paroksyzmie, lecz za to pogłębiła się w jego duszy. Zdawało się że miłość, którą zlał na jednostkę, pochłonęła w nim wszystkie soki żywotne. Nie wrócił na wesele brata, z bólem swym nie szmotał się i nic nie przedsiębrał, coby ukoić mogło cierpienie. Uregulowawszy rachunki z Herr Inspektorem, nie zdając sobie sprawy, dla czego to czyni, udał się do Szlązka. Może

rozmowa szlązaka pociągnęła go bezwiednie do tych, którzy umieli borykać się z losem.

Napisał do ojca lakonicznie, że wracać nie może. Matkę zaniepokoił ten list, wiedzieli jednak, że syn jest na Szlązku, a wszyscy z wyjątkiem ojca, przypuszczali, że tam go popchnęła skrupulatność fachowa, polegająca na wystudyowaniu różnych majątków przemysłowo-gospodarskich. Ojciec pokiwał głową i nic nie rzekł, posłał mu znowu pieniądze, ale nie powoływał do domu.

Tymczasem Stanisław włączył się po kraju, bez żadnego planu, a w istocie i bez celu, nie ostał się przecież nigdzie na długo, wyganiała go zewsząd silnie rozwijająca się w nim drażliwość w niuniknionych stosunkach z ludźmi, w których dopatrywał teraz same tylko ujemne strony. Pisał do niego brat, on nie czytając listu, rzucił go w ogień. Pisała Jadwisia zaraz po weselu, on to samo z jej listem uczynił. Pisała matka, on pismo jej złożył do podróźnej torby, nie naruszywszy pieczętki.

W końcu popadł w zupełną apatyę: patrzył, nie widząc, słuchał, nie słysząc, nawet ta zgrzyliwa jego mizantropia ustąpiła miejsca jakiejś senności, z którą się nosił, niby lunatyk.

Nareszcie zelektryzował go telegram z domu.

„Ojciec ciężko chory“ — zawiadamiła matka. — Był to piorun gaszący pożar... pożar, który mógł zmienić w zgliszczą tę młodą organizację o gorącej, wrażliwej naturze.

W przeciągu pół godziny po telegramie, Stanisław siedział już w wagonie, wracał do rodzicielskiego domu.

Kiedy stanął przy łożu chorego, ojciec i syn patrzyli na siebie z nietajonem przerażeniem. Ojciec w przedśmiertnem jasnowidztwie, odgadł dramat w sercu syna. Ta martwa bladeść Stanisława, te podkrążone, dziwnie palające oczy, ta wychudłość ciała, te pokrzyżowane bruzdy na jego czole, powiedziały mu wszystko.

Matce do niepokoju o męża, przybył niepokój o dziecko.

— Staś musiał ciężką przebyć chorobę, bo okropnie wygląda. Wśród pieśczęt wymawiała mu, że nie donosił o tem.

Stanisław niczemu nie przeczył, on w tej chwili widział tylko ojca, widział w nim to spustoszenie, które poczyniła śmiertelna, nieuleczalna choroba, widział dopalające się życie w jego rysach. „Ojciec zapracował się“ powtórzał sobie w myśli — i wyrzuty sumienia oddały go na pastwę nieznanym mu dotąd katuszy; serce rwało mu się w kęsy; wszystkie przebyte bóle stłumił w nim jeden ból okrutny i jeden żal padający ołowiem na duszę. Cóż go obchodziła w tej chwili ta Jadwisia czerstwa zdrowiem, młodością, ta jego bratowa, która z mężem, stała przy nim? Przywitał ich oboje, jakby nic nie zaszło. On teraz drżał o ojca, troskał się o matkę, którą jak mógł uspokajał.

A matka słodką, pełną anielskich subtelności pieśczętą, starała się zażegnać przygnębienie dziecka, łudzając je nadzieją, która ją samą nie opuszczała na chwilę. Głos jej, niby cudowne dźwięki loretańskiego dzwoneczka, zdołał nareszcie odpędzić nawałnicę z duszy Stanisława; on pragnął wierzyć i uwierzył jej, dopiero z tą wiarą przeniknęło go ciepło rodzinnego ogniska. I począł pielęgnować ojca z iście macierzyńską troskliwością, czuwał nad nim dniem i nocą, nie dając się zastąpić przez nikogo. To mu przywracało wewnętrzną równowagę, przywracało energię, nad którą, od pewnego czasu, wzięły nerwy przewagę. Nabral otuchy, zapragnął stać się podporą i pociechą rodziców, chciał być użytecznym członkiem w społeczeństwie, chciał żyć i działać. Tydzień pobytu w domu, zmienił go zupełnie. Czasami jednak coś nim po dawnemu podrzucało: na widok poufałości Jadwisi z Olesiem, wbijał ponuro w ziemię oczy i zaciskał zęby, omal nie zgrzytał; nie mógł jeszcze patrzeć obojętnie na ich szczęście, lecz mógł już poskramiać się, mógł zapanować nad tem, co w nim zakłócało.

Państwo Aleksandrowie mieli pozostać u rodziców, do czasu wyzdrowienia ojca.

Gdybyż odjechali najprędzej — myślał Stanisław, — pobyt ich tutaj z każdym dniem stawał się dlań nieznośniejszym. I stronił od nich, a oni zajęci sobą, nie dostrzegali nic, prócz zdziwacznienia w usposobieniu brata.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## NA POSTERUNKU.

Nie wesoła dola kronikarza, polegająca na opędzaniu „Roli“ przed nawałą „serdecznych“. — Czegoby chcieli i przed czem bronić się musimy? — Pewna znana przypowieść i artykuł „Kraju“ „wprawie etyki dziennikarskiej“. — Piękny temat i co o nim sądzi mój kolega-śledziennik. — Pogadanka spokojna i otwarta z p. Piltz em E r a z m e m. — Taktyka polemiczna „Roli“. — Nasze przyznanie się do jej „brutalności“ i nasza zatwardziałość w grzechach przeciw „etyce dziennikarskiej“ uprawianej w „Kraju“. — Nasz błąd co do wynalazku „zasady podporządkowywania“. — Błąd pana Piltza i uprzejma do niego prośba. — Deklaracya na przyszłość. — Nie traćmy słów!...

Wybaczenie czytelnicy! Zamiasz pogadanką o „sprawach bieżących“ — znowu polemiką zająć mi Was wypada. Czuję to doskonale, iż milejby mi było gawędzić od chociażby o... listopadowym Lipcu, jakim się rozkoszują „letnicy“, o wyscigach cyklistów, o tryumfach artystów naszych scen ogródkowych, i o tylu innych rzeczach mniej lub więcej ciekawych a niewinnych. Niestety, feljetonowo-warszawskie słodycze te — nie dla mnie. Taką bo widać moja dola, że stojąc na tym „posterunku“, większą część kronikarskich sił swoich zużywać muszę na opędzanie się przed nawałą „serdecznych“, tych lubych nam serdecznych, co to i mnie, i „Rolę“, i wszystkich nas rolarzy — radziby udusić w jednym, b r a t n i m uścisku. My zaś, choć cenimy tę miłość, wolimy jednak odczuwać ją zdaleka... od uścisku więc tego, którymyb nas odrazu — odrazu objąć radzi: i „bracia“ starozakonnici i wszelakiego rodzaju polaczkowo zżydziali, i bezwyznaniowi postępowcy i konserwatywni oportunisty — bronić się chcemy i bronić się musimy; — a większa część tego rozkosznego zadania, polegającego na odpędzaniu i hamowaniu w paroksyzmach miłości serdecznych... gadzin — chciałem rzec przyjaciel — na mnie właśnie spada. Spróbujmyż tedy odparować cios nowy, czyli właściwie nowy atak onej miłości bezgranicznej.

Złodziej „podporządkował“ sobie cudzą portmonetkę i, uciekając, woła z całej piersi: trzymaj, łapaj złodzieja!

Nie wiem jak się to stało, dość że znana ta przypowieść przyszła mi mimowoli na myśl, gdy przeczytałem drugi już artykuł w „Kraju“: „W sprawie etyki dziennikarskiej“.

— Piękny temat, nieprawdaż? — mówię do kolegi siedzącego tuż przy mojem biurku.

— A tak, piękny, i niktby go właśnie lepiej niż „Kraj“ przedstawić, niktby nim goręcej przejąć się nie potrafił.

— Jakto? dlaczego? — pytam, zdziwiony nieco tą reklamą organu p. Piltza E r a z m a.

— Ano bo widzisz — odpowiada mi kolega-śledziennik — żyjemy w czasach, w których główna wartość człowieka polega na krzyku i rozprawianiu o tych właśnie przymiotach, których się wcale nie posiada. W języku postępowym nazywa się to sztuką umiejętnego przystosowywania się w danej chwili do danych warunków i okoliczności, — w języku zacofanym bezczelnością i blagą. Jakoż widzimy i słyszemy, że najbrudniejsi częstokroć lotrzykowie prawią najgłośniej o czystości charakteru i cnocie, najwięksi tchórze i „furfanci“ o odwadze, a najordynarniejsi oszuści, lichwiarze, spekulanci gotowi stanąć do boju „o swój honor“, i brakuje tylko aby cne „andrusy“ z nad Wisły, napadający na spokojnych przechodniów, a odstraszeni kijami lub lufą rewolweru, żądali o o b r a z ę „rozpraw honorowych“.

Jeżeli tedy doszliśmy już nareszcie do tak szczytnej emancypacji wszelkich pojęć etycznych z pod wpływu wszelkich spleśniałych, przestarzałych przesądów, to dla czegoż z tych owoców „najnowszego postępu“ nie mieliby korzystać wszyscy? — dla czegoż i tutaj nie miałyby zapanować demokratyczna równość? Dla czegoż więc i taki, dajmy na to, p. Piltz, który tak niedawno w organie swoim — „z pobudek dobra publicznego“ (tak!) — „nadużył“ podpisu p. Pułaskiego, nie miałyby nas pouczać o zasadach „etyki dziennikarskiej“?

O ile słusznym jest ten wywód kolegi-śledziennika, trudno mi jest dociekać; w każdym jednak razie, wobec systematycznie powtarzających się szykan „Roli“ w organie pana Piltza E r a z m a, chciałbym z tymże panem pomówić — bez wszelkiej zawziętości — ot tak sobie spokojnie i... po przyjacielsku. A więc:

Powiadasz pan dobrodziej, że „taktyka polemiczna“ w „Roli“ jest „brutalna“, „wstrętna“, „warcholska“ i Bóg wie nie jaką tam jeszcze. Prawda, kochany panie, prawda: do tych występnych i gorszących wykroczeń przeciw „etyce dziennikarskiej“ przyznajemy się z całą, zwykłą nam, otwartością, chociaż bynajmniej nie ze skruchą. Ani lawirowanie pomiędzy „kierunkami“ — sztuka, na której zna się doskonale

„Kraj“ — ani też omijanie kwestyj tak nazwanych „drażliwych“ nie wchodzi w plan naszej taktyki dziennikarskiej, która, przyznajemy to znowu, dla wielu pospolitych handlarzy pozujących na wielkich patriotyków i mężów zaufania, jest bardzo niewygodną, ba, nawet bardzo „wstrętną“. Taktyka nasza, od ukazania się pierwszego numeru tej nie-szczęsnej „Roli“, tego „śmietnika“ — jak ją p r z y z w o i t y w polemice p. Piltz E r a z m nazywa — była, jest i zostanie jednaką. Nazywać po imieniu wszelaką niegodziwość, zdierać maskę z wszelkiej obłudy, wywłóczyć na światło dzienne wszelki brud usiłujący się osłaniać onym wygodnym parawanem „dobra społecznego“ — oto kardynalne grzechy naszej „taktyki polemicznej“. Przyznajemy raz jeszcze: są one ciężkie — taktyka to „brutalna“, lecz, uparci i niepoprawni, zostaniemy już przy niej i wytrwamy do końca. Tak, nie ma już na to rady. Bo jeżeli nie przydało się na nic tyle i tak s z l a c h e t n i e przedsiębranych środków przez „przyjaciół“ naszych; jeżeli na nic się zdały: oszczerstwa i denuncjacje, napady na redakcyę i napady uliczne, miliony groźb i pokuszenia wprost już na życie „rozbójnika“, „opryszka“ i „warchoła“ z „Roli“, jeżeli to wszystko razem — co przecież życia nie może czynić słodkiem — nie zdołało złamać naszej zatwardziałości w grzechach przeciw a p o s t o ł o w a n e j przez „Kraj“ etyce dziennikarskiej; to przypuszczać należy że nie złamie jej nic, — czyli że tem mniej złamać ją może bodajby najsroższy gniew pana Piltza E r a z m a.

Jesteśmy takimi, jakimi nam być każą pr z e k o n a n i a n a s z e. Tutaj — mili panowie — tkwi nasza znów etyka. Że zaś rozumieć jej nie chcą, przejęci swoją, unurzaną w błocie geszefciarstwa i *fein*-postępową etyką, pewni „publicyści“ — alboż nasza w tem wina?

Powiadasz pan dalej, kochany panie Piltz, że taktyka polemiczna „Roli“ jest nietylko „brutalna“, ale i „nieuczciwa“, i stawiasz na to *dowód!* „Nie uczciwem, mówisz pan („Kraj“ Nr. 26), jest twierdzenie „Roli“, wtrącone do polemiki z nami, że to złodziej Kiersza... był twórcą programu podporządkowywania wypisanego na sztandarze „Głosu“, bo „Rola“ wie dobrze że tak nie było“. Ach, drogi panie! — co do tego zarzutu ani myślę się spierać. Jako człek omylny, mogłem błąd popełnić. Być może iż palmę pierwszeństwa co do owego wynalazku powinienem był zostawić wcale komu... innemu; — w każdym jednak razie, nie sądzę, aby zestawienie *Władysława Kiersza* z programem „podporządkowywania“ — tego Kiersza, który ów właśnie program, „wypisany na sztandarze“ swego jak naówczas organu — tak umiejętnie i dosadnie zastosował w praktyce, miało być znowu zbyt gorszącą — *nieuczciwością*.

Twierdzisz pan nakoniec, kochany panie Piltz, że „nie ma dziś poważniejszego pisma w Warszawie, któreby z „Rola“ nie miało osobistych (?) rachunków“; że więc „gdziekolwiek zjawiłby się artykuł tej co nasz (to jest „Kraju“) treści, zawsze pismo to, dla osłabienia go, starałoby się podsunąć mu pobudki osobiste“. Przepraszam, ale co do tego twierdzenia — pan znowu, kochany panie Piltz, jesteś w zasadniczym błędzie. Mogę pana zapewnić najso-lenniej, że gdyby z artykułem „w sprawie etyki dziennikarskiej“ wystąpiły dajmy na to: „Przegląd Katolicki“, „Biesiada Literacka“, „Wiek“, „Dziennik dla wszystkich“ i parę jeszcze, bynajmniej nie antisemickich nawet, pism innych, to artykuł taki przyjąłbym najzupełniej i n a c z e j, wiedząc że na czele pism tych są ludzie dobrej wiary, którzy ani urządzali hec d e w a s t a c y j n y c h z pobudek osobistych swoich współpracowników, ani też, „z pobudek dobra publicznego“ (!) „korzystali“ z cudzych podpisów. Lecz gdy o etyce dziennikarskiej poucza mnie pan... E r a z m Piltz, to, wybac pan dobrodziej, przypomina mi się zaraz owa, na wstępie przytoczona, przypowieść i porywa mnie śmiech tak niepowstrzymany, że śmiałybym się nawet wśród ogólnego płaczu i lamentu nad zbrodniami „Roli“.

I jeszcze słówko. W systematycznej szykanie „Roli“ mieszasz ją pan ciągle z „Przeglądem Tygodniowym“ i „Głosem“. Według pańskiej „etyki dziennikarskiej“ jest to zapewne taktyka bardzo dobra, pobija bowiem przeciwnika, bez użycia nawet zbyt ostrych i gwałtownych nabołów. Według nas jednakże, jest to najprostsza niegodziwość polegająca na fałszowaniu zasadniczego k i e r u n k u owego przeciwnika czyli na najnieuczciwszem już wprowadzaniu w błąd opinii publicznej. Jest to coś bardzo podobnego do owego — zawsze „z pobudek dobra publicznego“ (!) „położenia podpisu“ p. Pułaskiego pod odezwą której tenże, jako żywo, nie pisał. My, drogi panie, wiemy bardzo dobrze, że na atakowaniu „Roli“ zależy panu wiele. Żydz to lubią, a pan

dobrodziej, jako człek pozytywny, cenisz wielce miłość (no i mamonę także) „mojészowych polaków“. Dziś zaś, gdy „Kraj“ opuściły niewdzięczne inne warstwy społeczne — „sztukę przypodobania się“, w tym popłatnym kierunku chciałbyś zapewne pan dobrodziej posunąć jak najdalej. I owszem, czyż pan zadość, kochany panie Piltz, pozytywnej potrzebie swego serca, bij pan dobrodziej „Rolę“ pluj, oczerniaj ile tylko pańska dusza anielska i pańska „etyka dziennikarska“ zapagnie. Tylko, drogi panie! — racz pan nie fałszować jej zasad i kierunku przez zestawianie jej z pismami zasad wprost przeciwnych, racz pan traktować ją chociażby „najsurowiej“, lecz traktować oddzielnie, niezależnie od swych pretensyj do „Przeglądu“ i „Głosu“. O niepopelnianie tej przynajmniej malwersacji... najuprzejmiejsz pana prosimy.

Tyle miałem do pogawędzenia z panem Piltz em Er a z m e m. Za gawędkę przydługą przepraszam raz jeszcze czytelnika, przyrzekając wzamian, że gdy się ukażą zapowiedziane najwyraźniej w „Kraju“, dalsze „Roli“ szykany, przejdę już nad nimi do porządku dziennego. W tej chwili szło mi koniecznie o wykazanie różnicy jaka zachodzi między „etyką dziennikarską“ „Kraju“, a etyką „Roli“. Zdaje mi się, że to uczynił w sposób dość jasny i wyraźny, i że wobec równie kapitalnej różnicy, jaka nas dzieli — z organem pana Piltz a, na żadnym chyba punkcie nie zjeździemy się nigdy. Więc pocóż mielibyśmy tracić — więcej jeszcze słów?

Kamienny.

## Z CAŁEGO ŚWIATA.

Jeszcze o chorobie cesarza Fryderyka. — Czem jest „oficyalne“ jakoby sprawozdanie lekarzy niemieckich. — Oni i Mackenzie. — Kto winien? kto morderca? — Jaka była ich powinność? — Co zrobili? — *Audiat et altera pars.* — Najzuchwalsza i najostatniejsza strona pamfletu. — Ogromny benefit dla Prenumeratorów „Roli“. — Będę im żywym głosem opowiadał swoje kroniki. — Ujemna strona wynalazku fonogramu. — *Volapücker* mnożą się na setki. — Podróż cesarza Wilhelma II. — Skandaliczne posiedzenie Izby deputowanych francuskiej. — Pojedynek Floqueta z Boulangerem. — Wniosek biskupa Freppela. — Wydanie królewicza serbskiego w ręce Proticza. — Wyjazd królowej Natalii.

Ohydna walka, która wrzała przy łożu choroby następcy tronu a w końcu cesarza niemieckiego Fryderyka; walka toczona, jak się to jawnie pokazuje, nie w imię przywiązania do osoby pacjenta, ani w imię nauki, ale w imię najniższych osobistych interesów wojowników, kulminujących w kwestyi honoraryów, nie skończyła się ze śmiercią koronowanego męczennika, ale toczy się dalej bezwstydnie na świeżym jego grobie, obrażając ciężko wszelkie szlachetniejsze uczucia, nie mówiąc już o poczuciu najprostszej przyzwoitości. Najświeższym, najgłośniejszym i najzuchwalszym strzałem jaki padł dotąd w tej walce, jest niby „oficyalne sprawozdanie lekarskie o chorobie Fryderyka III-go“ w tych dniach przez lekarzy niemieckich, czynnych podczas choroby nieboszczyka cesarza, wydane.

Sprawozdanie to jest najformalniejszym aktem oskarżenia d-ra Mackenziego o zamordowanie cesarza; on to bowiem — według sprawozdania — nie pozwolił na operację, która w swoim czasie wykonana — autorowie sprawozdania twierdzą to dziś kategorycznie — byłaby stanowczo uratowała nieboszczyka, a przynajmniej zapewniła mu życie na długie jeszcze lata.

Jakie to prawdziwe przysłowie, że kogo Pan Bóg chce ukarać, temu najprzód rozum odejmie! Ci panowie w zaślępieniu swoim nie spostrzegli, że oskarżając doktora Mackenziego o morderstwo, sami siebie w charakterze morderców przedstawiają. Jeżeli doktorzy niemiecy, przy łożu cesarzewicza a przyszłego cesarza niemieckiego, tak dokładnie i z taką pewnością w swoim czasie wiedzieli, jak dziś zdają się wiedzieć, że jedynym ratunkiem dla chorego jest operacja, a operacyi tej opierał się jeden tylko lekarz-cudzoziemiec, to obowiązkiem niemieców było stawić opór temu separatystycznemu zdaniu, w razie potrzeby zaprotestować gremialnie, publicznie, a w ostateczności odstąpić raczej od łoża chorego, aniżeli w myśl fałszywej (według ich przekonania) metody leczenia anglika, pracować na śmierć pacjenta.

Jeżeli tego panowie niemiecy nie uczynili, to albo nie byli swego pewni, albo żal im było opuszczać chorego, nie przez przywiązanie do niego, ale przez miłość do honoraryów. Jedno gorsze od drugiego. W pierwszym razie, nie mają prawa czynić zarzutów człowiekowi, który również jak oni mógł się mylić, ale działał w dobrej wierze, ufając tylko więcej swojej wiedzy, niż oni ufali swojej. W drugim razie...

nie myślę silić się na dobór wyrazów, któreby dość dosadnie zdołały napiętnować nieszczemność takiego postępowania.

*Audiat et altera pars;* trzeba wysłuchać i drugą stronę. Dr. Mackenzie nie przemówił dotąd, i, wyższemi powodami względami, wzbrania się podobno przemówić w tej chwili, na filipiki niemieckie pogardliwie odpowiadając milczeniem. Ale czas milczenia minie i nadejdzie pora mówienia. Odpowiedź doktora angielskiego będzie ciekawą, i jeżeli będzie szczerą, może rzucić niespodziewane światło, na niektóre dość niejasne wypadki ostatnich czasów. Część odpowiedzi fachowa będzie zdaje się dla Mackenziego łatwą, dziś już bowiem ludzie kompetentni a bezstronni, widzą w zbiorowej robocie doktorów niemieckich wiele punktów niewytrzymujących krytyki, a najsłabszą może jej stroną jest to, że w niej pominięto milczeniem najcelniejsze niemieckie znakomości, jak d-rów Virchowa, Krausego, Leydena i innych, którzy wpływali na decyzję co do systemu kuracyi dostojnego pacjenta, a których analizy i opinie zdawały się przechylać na stronę Mackenziego.

Ale mniejsza o to. Strona fachowa owego „sprawozdania“ jest tu rzeczą najmniejszej wagi, a sprawa Mackenziego rzeczą drugoplanową. Akt oskarżenia sięga dalej, bo naturalnie tych osób które Mackenziego powołały do łoża chorego i do ostatka darzyły go zaufaniem, a więc przede wszystkim cesarzowej Wiktorji. I tu właśnie zuchwalstwo i bezczelność niemieckich paszkwilistów dochodzi do punktu kulminacyjnego. Kobiecie notorycznie najzacniejszej, żonie, która przez całe życie, aż do ostatniej chwili składała dowody szczerego, głębokiego przywiązania do męża, wdowie niepokieszonej po zgonie ukochanego i kochającego towarzysza, córce jednego z najstarszych tronów Europy, własnej cesarzowej bryzgnąć w oczy zarzutem, że złym wyborem i uporem w zaufaniu sama skróciła dni nieboszczyka, to już rzecz mało powiedzieć niegodziwa, — to rzecz nie ludzka...

Nie myślę rozwodzić się dłużej nad tym faktem, którego we wstępie nawet dotknąłem, — ale zdało mi się koniecznym obowiązkiem kronikarza „z całego świata“, zaznaczyć ten charakterystyczny rys dzikości, tkwiącej po dziś dzień w naturze narodu, który w zarozumiałości swojej uważa się za ogólnego, patentowanego, wszechświatowego cynlizatora.

Ku pociesze i rozrywce Waszej po tem przykrem wrażeniu, które Wam tą brzydka eskopada medycyny niemieckiej sprawiłem, i za którą najmocniej Was przepraszam, powiem Państwu teraz, że już więcej ja pisywać a Wy czytywać mnie nie będziecie. Nie dla tego broń Boże, żeby mi Jego Redaktorska Miłość *abszyt* dać miała (gdzieżby znalazł zdolniejszego kronikarza!...), ani żeby mi w „Roli“ *kronikować* sprzykrzyć się miało (gdzieżby znalazł piękniejsze Czytelniczki i przyjemniejszych Czytelników!...), ale pro prostu dla tego że odtąd żywym głosem ze sobą rozmawiać będziemy. Ja sobie kupię *fonogram*, i Wy sobie pokupujecie *fonogramy*, ja mojemu nagadam do ucha co mi ślina na język przyniesie, a Wasze powtórzą Wam wszystko co do słówka, i to moim własniuteńkim głosem!... Zobaczycie jaki ja mam głos! fraszka ów kruk w bajce. Co to będzie za śliczna pogadanka, nieprawdaż?... Tylko jedno jest *ale*: ja z przeproszeniem jestem trochę niecierpliwy; czasami, jak mi kronika w ład nie idzie, powiem jakie niezbyt przyzwoite słowo, naprzykład takie, co się od psa zaczyna a na krwi się kończy. Otóż w pisanej kronice, wyrazy takie opuszczam, albo choć napiszę czasem, to potem wykreślę, a ten nieznośny *fonogram* jest taki rzetelny i skrupulatny, że wszyscyuteńko co usłyszysz do odrobinki powtórzyć musi. Więc z góry przepraszam za jego niedyskrecyę i nieszczególne wychowanie. Wybaczycie mu zapewne, zwłaszcza przez wzgląd na pochodzenie; to amerykańnik, świeżo narodzony z ojca Edisona!

Ale, ale — moje na wierzchu! Powiedziałem kiedyś na tem miejscu, że „język powszechny“ jest mrzonką, która nigdy zrealizować się nie da, dopóki nie będzie takiej siły, któraby wszystkim język taki narzuciła. Z tych obecnie koncyptowanych *volapückerów* nic nie będzie dla tego, że nibawem będzie ich więcej niż tych ordynaryjnych, specjalnych języków, a za jakiś czas będzie ich tyle, ile osobników mówiących na świecie — i wtedy, wbrew twierdzeniu że historia się nie powtarza, powtórzą się dzieje czasów wieży Babel. Idziemy ku temu szybkim krokiem; oto znów anglik Melville-Bell ukuł nowe takie języczysko i nazwał je *World English*, t. j. język powszechny angielski. Powszechny a angielski... Sama logika nazwy świadczy o logice treści...

Cesarz Wilhelm w tej chwili jest w drodze do Petersburga, a oczy całego świata zwrócone są na to spotkanie, z którym wiążą się nadzieje uspokojenia, tak upragnionego

dla Europy. Przyjazd dostojnego gościa do Peterhofu naznaczony jest na d. 19 b. m. a odjazd ma nastąpić d. 23. Z powrotem cesarz niemiecki odwiedzi Sztokholm i Kopenhagę, a w Berlinie stanie d. 29.

Posiedzenie Izby deputowanych w Paryżu, odbyte d. 12 b. m. należy do najburzliwszych i najskandaliczniejszych, jakie dzieje parlamentaryzmu europejskiego wykazać mogą. Najprzód Laffon, radykalista, wniósł zupełne skasowanie wszelkich kongregacyj mających charakter religijny i do magł się uznania nagłośności tego wniosku. Prezes ministrów Floquet sprzeciwiał się temu, ale mimo tego Izba, lubo niewielką większością uznała nagłośność, przyprawiając rząd o dotkliwą porażkę. Potem Boulanger wystąpił z wnioskiem rozwiązania Izby. W ciągu dyskusji, między nim a Floquetem wszczęła się kłótnia, w której padały wyrazy, jakich nie słyszały chyba nigdy ściany sali obrad żadnego ciała prawodawczego. Nie oszczędzał Floquet Boulangera, a Boulanger odpłacał mu pięknem za nadobne, nazwawszy go między innymi kłamcą bezczelnym. W końcu Izba uchwaliła „cenzurę“ na Boulangera, a on złożył mandat i ostentacyjnie wraz z przyjaciółmi opuścił salę.

Skandal jednak nie skończył się na tem; Floquet wyzwał na pojedynek Boulangera i przedziurawił mu gardło, — a wyzwanie to, będące obrazą prawa ze strony najwyższego jego stróża, prezesa ministrów, skłoniło dep. biskupa Freppela do postawienia na najbliższym posiedzeniu wniosku, żądającego bezwarunkowego zakazu pojedynków. Nagłośności temu wnioskowi Izba odmówiła, a co z nim samym się stanie, niewiadomo.

Królowa Natalia zmuszona została wydać swego syna w ręce policji wiesbadeńskiej, która go oddała znów generałowi Proticzowi. W ten sposób zakończyła się pierwsza połowa dramatu małżeńskiego królestwa serbskich. Królowa, której zakomunikowano rozkaz opuszczenia granic niemieckich w przeciągu dziesięciu godzin od chwili odjazdu królewicza, udała się do Wiednia, a ztamtąd ma pojechać do Paryża i tam oczekiwać końca sprawy rozwodowej. Król Milan wyjechał naprzeciw syna aż za Peszt i zawiózł go do Belgradu.

*E. Jerzyna.*

## Z listów do „Roli“.

**Z Ciechanowca.** Ciechanowiec podzielony jest przez rzekę Nurzec na dwie części, z których jedna należy do gub. Grodzieńskiej, druga do Łomżyńskiej, a komunikację między nimi ułatwiają przerzucone przez rzekę mosty.

W części należącej do gub. Grodzieńskiej są: trzy parowe fabryki sukna, sąd, doktor, apteka i kościół parafialny, oraz, wśród licznych sklepów żydowskich, jeden chrześcijański, założony przed kilkoma laty. Handel żydowski jest tam bardzo ożywiony, a ów jedyny sklep chrześcijański nie wpływa bynajmniej na zmniejszenie tego ożywienia, gdyż nie odpowiada potrzebom i wymaganiom publiczności.

Część położona w gub. Łomżyńskiej ma 100 domów, w połowie będących własnością chrześcijan, pocztę, filię apteczną i szkółkę, oraz mieszka tu stale: doktor, felczer i weterynarz. W ciągu roku odbywa się w Ciechanowcu sześć jarmarków, z pomiędzy których przypadający na Ś go Wojciecha jarmark na konie trwa dni kilka, odznaczając się zazwyczaj znacznym ożywieniem. Zjazd bywa wtedy liczny, a obrót handlowy dochodzi kilkudziesięciu tysięcy rubli. Niezależnie od tego, po stronie Łomżyńskiej, odbywają się po dwa targi tygodniowo, w Poniedziałki i Czwartki.

Sklepu polskiego tu nie ma, a i żydowskich niewiele, bo wszyscy czynią zakupy głównie po drugiej stronie rzeki, przybywa ich jednakże z każdym rokiem coraz więcej.

W okolicy, w promieniu trzymilowym, nie ma innego miasteczka, natomiast w odległości 10-ciu wiorst od Ciechanowca jest rozrzuconych przeszło 100 wiosek i 30 większych folwarków, znajdujących się w ręku właścicieli lub dzierżawców chrześcijan.

Włościanie tutejsi, jak również i szlachta, mają się dobrze, idą za postępem w gospodarstwie i narzędzia rolnicze, przedmioty potrzeby i wygody nabywają chętnie, a produkta spożywcze zakupują w znacznej ilości. Zakup niektórych dworów równa się sumie przeszło 500 rs. rocznie.

Powyzsze dane dość chyba wymownie świadczą o możności utrzymania się w Ciechanowcu sklepu polskiego, a jednak, pomimo wszelkich sprzyjających warunków, nie ma go tutaj dotąd. Przed niedawnym czasem, mieszkańcy tutejsi

i okoliczni, pragnąc uczynić zadość istotnej potrzebie, powzięli projekt utworzenia spółki udziałowej i otwarcia sklepu, lecz skutkiem różnych okoliczności nie przyszło do urzędowania tego projektu. Postanowiono natomiast, za pośrednictwem niniejszego pisma, zachęcić kogoś z ludzi fachowych izby, przy odpowiednim zasobie materialnym, założyć w Ciechanowcu sklep z kierunkiem gospodarczo-spożywczym.

W tym tedy zamiarze, przesyłam szanownej redakcyi „Roli“ tę notatkę informacyjną, dodając, iż ktoby się zdecydował pójść za moją radą, może być z góry pewnym poparcia i powodzenia. Nie widzę nawet potrzeby wspomnieć tu ze szczególnym naciskiem, iż uczciwość i czynienie zadość słusznym wymaganiom kupującej publiczności, jest w tym razie koniecznym, — nie wspominam o tem, gdyż to się rozumie samo przez się.

A uzupełniając swe informacye dodaję jeszcze, iż życzeniem obywateli-ziemian jest, aby w takim sklepie utrzymywana była księga anonsów, która spełniałaby rolę pośrednika w kupnie i sprzedaży produktów rolnych; byłoby też do życzenia aby znajdował się tam i kantor pism periodycznych. I to także wypada mi zaznaczyć iż obecnie jeden z chrześcijan kończy w rynku budowę domu murowanego i chętnie wynajmie w nim sklep kupcowi chrześcijańskiemu.

Komunikacya z Warszawą jest dość łatwą. Jedzie się najpierw 18 wiorst szosą do Czyżewa, stacyi drogi żelaznej Warsz.-Petersb., a ztamtąd do Warszawy jest wiorst 96. Poczta wysyła pieniądze 3 razy, a korespondencye 5 razy tygodniowo. Istnieje też zamiar otworzenia w Ciechanowcu stacyi telegraficznej.

W Kuczynie odległym od Ciechanowca o 3 wiorsty będzie w tych czasach wznoszony nowy kościół, co też nie pozostanie bez pewnego wpływu na odbyt zwłaszcza produktów spożywczych w projektowanym sklepie. Słowem, wszystko składa się tak, że nie powinienem długo czekać na pomyślny skutek tej mojej korespondencyi. Co im prędzej on nastąpi, tem lepiej.

*I. M.*

*Przypisek Redakcyi.* Pomieszczając powyższą korespondencyę, oświadczamy iż pragnący bliższych jeszcze objaśnień, mogą je otrzymać wprost od szanownego korespondenta, — adres którego chętnie wskazywać możemy.

**Z Janowa Lubelskiego.** Szanowny Redaktorze! Z uczuciem przykrości zabieram się do skreślenia poniższych słów kilku; a przykrość to tem większa, że sprawcami jej są nie żydzi lecz chrześcijanie. Rzecz ma się tak: Dzięki rozbudzającemu się coraz bardziej poczuciu potrzeby zwalczania żydowskiego monopolu handlowego, powstał i w naszym mieście sklep chrześcijański; a że potrzebnym on tu był bardzo, dowodzić nie potrzebuję, gdyż każdy komu zdarzyło się być w Janowie zwłaszcza w dzień Sobotni, łącno o tem mógł się przekonać. Żydkowie tak tu panowali wszechwładnie, że z nastaniem szabasu całe miasto przybierało charakter świąteczny. Sklepy wszystkie były pozamykane, ruch na ulicach ustawał zupełnie, a o kupieniu czegokolwiek nawet mowy być nie mogło. Potrzebnym tedy, powtarzam, był tu sklep chrześcijański, ale cóż, kiedy powstawszy spotkał się on... z obojętnością.

Dziwne to, przykre, ale prawdziwe niestety! Ten i ów zajrzy do nowego sklepu, nawet odwiedza go dość często, ale tylko dotąd, póki nie zadłuży się w nim; gdy zaś to nastąpi, omija go zdaleka.

A jakże, wobec nowego przedsięwzięcia, zachowuje się inteligencya janowska? Jak? — ano, biernie i obojętnie. Widocznie prawdą jest że „przyzwyczajenie to druga natura“, a „bojaźń“ wobec żydostwa silniejszą jest od poczucia obowiązku przeciwdziałania szachrajstwu i nieuczciwości „naszych najserdeczniejszych“...

Tak jest u nas; ale czy tak być powinno? Na pytanie to nie ma dwóch odpowiedzi. Wszyscy czujemy dobrze skutki ucisku żydowskiego, więc też każdemu, kto pragnie wyzwoić nas z hańbiącej od żydów zależności, powinniśmy pomagać z całego serca, powinniśmy popierać go z całej siły. Takie postępowanie dyktuje nam nie tylko obowiązek, ale i najprostszy — interes.

Wybacz mi Szanowny Redaktorze, że z tak smutnej zagrałem nuty, lecz trudno; — komu smutno ten szuka ulgi w wynurzeniu swych żalów. A smutek mój wypływa przecież ze źródła któremu na imię: Dobro Publiczne! Wybacz i pomieść ten list mój, który oby był jedynym w swoim rodzaju i oby wywarł skutek zbawienny!

Z uszanowaniem

*Aleksander W.*

**Z Mławskiego.** Szanowny Redaktorze! Słowa prawdy, jak również rady i wskazówki żywotne, jakie „Rola“ głosi



i udziela, padają na glebę urodzajną i kielkują znakomicie, obiecując plon obfity. Oto bowiem we wsi i parafii Boguszyn, w odległości dziesięciu wiorst od Mławy, założony został sklep chrześcijański.

Mysł założenia tego sklepu wyszła od miejscowego Proboszcza i ziemian okolicznych, a kapitał złożyli — w miarę możliwości — wszyscy parafianie. Za czeladź dworską ponosili udziały właściciele folwarków.

Tak więc sklep ten jest wspólną własnością wszystkich mieszkańców parafii Boguszyńskiej i, da Bóg, wszystkim na dobre wyjdzie niezawodnie.

Aby osiągnąć skutek jak najlepszy, zarządzający sklep zaopatrzyli go we wszelkie towary jakich ludność miejscowa potrzebuje i, po trzech miesiącach od założenia, mają tę miłą nagrodę, że trudy ich wieńczy powodzenie zupełne. Targ bowiem miesięczny w sklepie dochodzi do siedmiuset rubli. A to dopiero początek; z czasem należy spodziewać się jeszcze większego targu, a z nim, rzecz prosta i zysków większych.

Pominąwszy nawet tę nader ważną usługę, jaką sklep w Boguszynie oddaje ludności miejscowej, przez uwolnienie jej od stosunków z handlarzami żydowskimi, wielkiem też dobrodziejstwem będzie, że czysty zysk jaki on przyniesie posłuży na zapomogi dla biedniejszych współwłaścicieli, w razie gdy którego z nich dotknie nieszczęście lub klęska losowa.

Do zarządu i pieczy nad pomyslnym rozwojem sklepu powołani zostali, wraz z innymi i włościanie.

Donosząc Szanownej Redakcyi „Roli“ o tym pocieszającym objawie otrząsania się ogółu naszego ze stanu apatii w zakresie spraw ekonomicznych, załączam wyrazy głębokiego szacunku i poważania.

K. T.

*Przypisek Redakcyi.* Prawdziwą przyjemność sprawiła nam wiadomość zawarta w liście powyższym; dowodzi ona bowiem, że byle dobre chęci i wola, wszędzie pracować można z pożytkiem dla ogółu. To też o ile godni są uznania ludzie którzy tak pracują, o tyle mniejszą musi być wartość jednostek, co nie dość że same nic nie czynią, ale nawet innym nie chcą pomagać w szlachetnych zabiegach około wyzwolenia naszego ogółu z pod obucha żydowskiego wyzysku i monopolu! A i o takich, niestety, „obojętnych“ dochodzą nas smutne wieści...

## KRONIKA BIEŻĄCA

### Krajowa i Zagraniczna.

**Bank włościański.** Według wiadomości podanej przez „Kraj“ petersburski, w przyszłym miesiącu spodziewanym jest w Warszawie zjazd członków stałych urzędów gubernialnych do spraw włościańskich, w celu odbycia narad nad przyszłą instrukcją dla komisarzy i w ogóle nad określeniem warunków kwalifikacyi kandydatów do pożyczek z Banku włościańskiego w Królestwie Polskiem.

**Zniżenie cła.** Na skutek starań przedsięwziętych przez ziemian, cło od drobniejszych narzędzi rolniczych, przywożonych z zagranicy nie w widokach handlowych lecz na własne potrzeby, ma być niższonem do 25 kop. od puda.

**Ochrona lasów.** W uzupełnieniu ustawy z dnia 4 (16) Kwietnia r. b. o ochronie lasów, minister dóbr państwa wydał dwie instrukcje: 1) instrukcję dla leśnych rewizorów-instruktorów i 2) instrukcję o wydawaniu nasion i sadzonek właścicielom przestrzeni leśnych, uznanych przez komitet ochrony lasów za „bronne“. Obydwie instrukcje podał „Goniec Urzędowy“ w N-rze 138 z dnia 26 Czerwca (7 Lipca) roku bieżącego.

**Agronomowie gubernialni.** Rada państwa zatwierdziła projekt ustanowienia agronomów gubernialnych. Zadaniem ich ma być udzielanie praktycznych rad w sprawach gospodarstwa rolnego, zarówno właścicielom większych posiadłości, jak niemniej włościanom.

**Uprzejmość angielska.** Niech tam sobie kto chce powstaje przeciwno różnym cywilizatorom naszym, przybyłym z zagranicy, niech gorszy się ich pychą i arogancją w stosunku z mieszkańcami tutejszego kraju barbarzyńskiego, — my ani powstawać na nich, ani gorszyć się ich postępowaniem nie myślimy, albowiem mamy przed oczyma żywy przykład wysokiej jednego z nich uprzejmości... A przykład ten przedstawia się tak:

Jeden ze współpracowników pism tutejszych bawiąc chwilowo u swych znajomych na wsi, w okolicach Warszawy, pod Markami, zapragnął zwiedzić istniejącą w Markach fabrykę przędzy, będącą własnością p. p. B. i P. Udał się tedy do kantoru onej fabryki,

i po oznajmieniu kim jest, wyraził, w sposób uprzejmy, cel swego przybycia. W tej właśnie chwili, wchodzi do kantoru pan B., współwłaściciel fabryki, więc zarządzający, z którym dotąd rozmawiał przybyły, oznajmia mu w języku angielskim (pan B. zna tylko język angielski i słabo niemiecki) że obecny tu gość pragnie zwiedzić zakłady fabryczne.

Pan B., wysłuchawszy o co idzie, krótko wężłowato — odmówił życzeniu przybyłego i nie skinąwszy mu nawet głową, ba, nie uchyliwszy nawet kapelusza, którym przez cały czas obecności swej w kantorze miał nakrytą głowę — odwrócił się i wyszedł...

Tak wygląda ów przykład, który mniemamy jest dość wyraźnym zaprzeczeniem niedorzecznego twierdzenia, jakoby cudzoziemcy osiadyli u nas, karmiący się naszym chlebem i robiący na naszej ziemi fortuny — odpłacali się nam... niegrzecznością. Niechże tedy nikt już nie gorszy się butą i arogancją różnych naszych cywilizatorów zagranicznych, bo oto, oprócz dowodów znanej słodyczy w objęciu serdecznych niemiaszków, mamy i dowód uprzejmości... angielskiej.

**Świece kościelne** nie są wprawdzie przedmiotem czci religijnej, ale ponieważ służą one do pewnego stopnia za czci tej wyraz, więc uważamy za właściwe podać do wiadomości Szanownego Duchowieństwa co następuje:

W liczbie tutejszych fabryk świec stearynowych znajdowała się do niedawna fabryka Niemca Rezlera. Otóż obecnie fabryka ta jest własnością Żyda, niejakiego Polakiewicza, który podobnie jak jego poprzednik wyrabia świece stearynowe kościelne. Nadto druga także fabryka żydowska znajduje się we Włochach. Nie dziwi nas to bynajmniej że panowie przemysłowcy starozakonni trudnią się wyrobem świec dla świątyń katolickich, boć przecież innych ich współwyznawców aż specjalnymi przepisami powstrzymywać trzeba od wyrobu Krzyżów, medalików, obrazów i t. p. przedmiotów, — ale zdaje nam się że byłoby właściwem, aby do obrządków chrześcijańskich używane były wyłącznie przedmioty będące dziełem rąk chrześcijańskich. Nie wątpimy że zdanie to podziela z nami w zupełności każdy szczerzy chrześcijanin, tembardziej więc nie wątpimy że i Szanowne Duchowieństwo jeżeli kupuje do kościołów świece żydowskie, to kupuje jedynie przez nieznaną im pochodzenia.

A obok niewłaściwości płonienia na ołtarzach chrześcijańskich świec żydowskich, zachodzi i ta jeszcze okoliczność, że świece te są wprawdzie nieco tańsze, ale i o wiele gorsze od innych. Tak więc i z moralnych i z materialnych względów wypada nam oświadczyć się przeciw używaniu w kościołach naszych — żydowskich świec kościelnych; co też czynimy w nadziei że Szanowne Duchowieństwo skorzysta z powyższego objaśnienia i nadal żądać będzie, przy kupnie świec na użytek kościelny, dowodów ich pochodzenia.

**Jak zwykle.** Znanem dobrze jest utyskiwanie na nierzetelność i nieuczciwość naszych rzemieślników, a pohop do tych utyskiwań dawało, w ostatnich czasach, nadmierne zaleganie ich w zwracaniu pożyczek zaciągniętych w t. z. „kasach rzemieślniczych“. Lecz cóż się okazało w rezultacie? Oto że, jak zwykle, tak i w tym razie, winni są — głównie Żydzi, oni to bowiem, w spłaceniu zaciąganych długów — głównie za legają. A widocznie wina ta naszych „obywateli moższowych“ musi być i dość widoczną i dość udowodnioną, skoro donosi o niej pewien organ opinii warszawskiej, odznaczający się przykładową w odstawianiu żydowskich szwindłów powściągliwością. Nawet — o zgrozo! — organ ten wspomina o jakichś, mających z tego powodu nastąpić w kasach rzemieślniczych, ograniczeniach biednych, niewinnych żydków!

No, no, — czyżby w tym wypadku miało nie być tak jak to u nas bywa zwykle — Żydzi broją a wina spada na „gojów“ — czyżby, powtarzamy, w tym wypadku miało się stać inaczej? Ano, zobaczymy...

**Z prasy.** W ostatnim numerze „Prawdy“, obok zwykłych pereł warszawskiego pozytywizmu, jest jeszcze i... niezwykła. Jest nią mianowicie opis obchodu osmaśetnej rocznicy założenia uniwersytetu bolońskiego. Autor, opowiadając czytelnikom o rozmaitych „festynach zgromadzonej licznie młodzieży“, o jej „pochodzie na — osłach“ etc., zachwyca się głównie demonstracyami antykatolickimi, a między innymi podnosi i cytuje mowę niejakiego prof. Bovio, wygłoszoną wśród okrzyków studentów: *prez z W a t y k a n e m*!

„Panowie! — zawołał, między innymi, ów profesor Bovio — wiara religijna umarła, potrzeba ufać wiedzy“ i t. d.

Że też to nie znalazł się, (a może o tem właśnie sprawozdawca „Prawdy“ przemilcza), nikt z ludzi rozsądniejszych, ktoby onemu uczonemu profesorowi odrzekł — ot chociażby w sens mniej więcej taki: Panie profesorze! — pan dobrodziej się myli! Umra i przepadną w pamięci ludzkiej wszelacy kuglarze pseudo-naukowi, wszelacy szarlatani i handlarze t. z. „wiedzy nowożytnej“, wszelacy truciele serc czystych i umysłów młodzieńczych; po ich naukach nie pozostanie nic prócz chwilowego... swędu, a wiara

religijna żyje i żyć będzie na wieki. Toć dzieje całej ludzkości powinnyby uczonego profesora pozytywistę o tym pozytywnym fakcie dostatecznie — pouczyć.

**Sztuki plastyczne.** Pan Aleksander Gieryski nadesłał na wystawę warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych obraz p. t. „Żydzi modlący się nad brzegiem Wisły“.

**Kontrola kolejowa.** Dziennik ruski „Grażdanin“ podał świeżo następującą wiadomość: „Na kolejach żelaznych w Królestwie Polskiem z dniem 13 Sierpnia r. b. utworzoną będzie kontrola państwowa. Dowiadujemy się, iż głównym kontrolerem kolei: terespolskiej, nadwiślańskiej i warszawsko-bydgoskiej, pozostających w rękach p. p. Kronenberga i Blocha, mianowanym został, przeniesiony z kolei uralskiej, kontroler pan Aszyk (Ajzyk?), osoba pochodzenia żydowskiego. P. Aszyk wszedł do kontroli kolejowej z kolei orenburskiej, z kantoru zmarłego kupca, Warszawskiego“.

**Z teatru i muzyki.** P. Wincenty Rapacki napisał nową komedję w pięciu aktach p. t. „Odbijanego“. Treść komedji osnuta jest na tle historycznym, pierwszej połowy XVIII wieku.

Tenorzysta, p. Maurycy Bruszewski ma wystąpić gościnnie na scenie teatru Letniego.

W teatryku „Belle-vue“ wystawiono dobrą sztukę ludową p. t. „Bykowski czy Wykowski“. Autorem jest p. K. Kozirowski.

**Zmarli:** Ś. p. Stanisław Wierzbicki, długoletni poseł na sejm pruski i do parlamentu rzeszy niemieckiej, jeden z najczynniejszych i najpożyteczniejszych obywateli W. Ks. Poznańskiego — zm. w Poznaniu.

Ś. p. Ignacy Mieleśzko-Maliszkiewicz, autor wspomnień z Turcyi p. t. „W Bałkanach“, powszechnie szanowany obywatel ziemski — zm. w Żytomierzu.

## SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

19 Lipca 1888 r.

Owa zniżka cen na rynkach zbożowych, o której tak głośno i szeroko opowiadały dzienniki giełdowe, a o której i my wspomnieliśmy w sprawozdaniu zeszłotygodniowym była istotnie, jak się okazało, chwilową.

Na rynkach amerykańskich płacono ceny już cokolwiek wyższe, a na europejskich, ruch w ciągu dni ostatnich ożywił się wyraźnie.

Na targach warszawskich sytuacja poprawiła się również. Ceny mianowicie pszenicy i żyta wzmocniły się dość znacznie.

Na placu Witkowskiego płacono pszenicę wyborową 6.80—7.10, średnią 6.50—6.70, ordynaryjną 5.90—6.10. Żyto wyborowe 3.90—4.00, średnie 3.70—3.80. Owies dobry 2.40—2.50, gorszy 2.20—2.30.

Na stacyi Praga pszenicę wyborową płacono 105—108 średnią 100—112, ordynaryjną 93—98 kop. za pud. Żyto wyborowe 65—68, średnie 56—59, ordynaryjne 52—54. Owies wyborowy 69—75, średni 59—76, ordynaryjny 54—58 kop. za pud.

W handlu wełną w ostatnich dniach nastąpił zwrot bardzo pomyślny. Zakupy na rynku warszawskim, czynione są przez kupców przybyłych z miejscowości fabrycznych, nader chętnie, ceny wysokie.

Natomiast w handlu okowitą usposobienie ciągle słabe. W Hamburgu cena regulacyjna wynosiła 21½ m. za 100 litrów; na rynku zaś warszawskim ceny pozostały bez zmiany.

Na targ prazki dostawiono zwyczajną ilość wołów po cenach nieco wyższych; na rynkach żywnościowych, nie ma w ogólności żadnych zmian ważniejszych.

## Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. N. z Warszawy. — Wszystko to są kłamstwa i oszczerstwa rozsiewane niegodnie przez żydów i żydyżalych polaczków, czyli w ogóle przez „przyjaciół“ naszego pisma. Bohaterowie napadu na redaktora „Roli“ są wolni; śledztwo dotychczasowe było prowadzone z urzędu, a redaktor, z uwagi że są to ludzie młodzi, których przyszłość mogłaby być bardzo łatwo zwichniętą, że nadto, w przekonaniu jego, byli oni tylko narzędziem w ręku niegodziwców kryjących się dziś w cieniu, — cofnął obecnie swoją skargę sądową. Uczynił to zaś nawet tam chętniej że czynonych bohaterów potępiła jedozgodnie opinia wszystkich ludzi uczciwych bez względu na obozy i różnice przekonań.

P. Moes-Oskragiełło w Bojarowie. — Owszem najchętniej „uderzamy się w piersi“ i prostujemy. Tytuł ostatniej pracy pańskiej brzmi: „Przyrodzone pokarmy człowieka i wpływ ich na dolę ludzką“ — nie zaś „na duszę ludzką“, jak to mylnie wydrukowano. Listu sz. pana, w tej formie w jakiej nam został nadesłany, pomieścić nie możemy.

Bezstronemu. — Owszem, dokumenty tyjące tej „sprawy“ mogą być panu okazane w administracyi naszego pisma, a przekonanie się pan bardzo łatwo po czyjej stronie słuszność. Plotki, intrzygi i osz-

czerstwa, to jedynych broni, na którą zresztą byliśmy i jesteśmy przygotowani.

Pani N. W. w Warsz. — Z nadesłanej „nowelki“ korzystać nie możemy.

Panu Y... z D. — Zgoda, sz. panie, byle rzecz była oparta na faktach i dowodach niezbitych.

## REKLAMY.

### W szkole dwuklasowej męzkiej

przy Alejach Jerozolimskich domu Nr. 74, lokal Nr. 2,

wpis uczniów na następny nowy szkolny rok 1888/9 zacznie się 4 (16) Sierpnia od godziny 9-ej do 3-ciej po południu. Lekcyje rozpoczną się 20 Sierpnia (1 Września).

Utrzymujący szkołę

**Antoni Mrajski.**

(10—3)

## OGŁOSZENIA.

### Potrzebny AGENT do zbierania anonsów.

Warunki korzystne — wiadomość w Redakcyi „ROLI“, w godzinach między 3-cią a 5-tą po południu.

### Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-29 i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży I. Jodłowskiego

Bieleńska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacye po cenach najumiarkowańszych.

### Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

### Ważne dla P. P. Myśliwych!



Gilzy metalowe Lancastera mego wynalazku, przewyższające wszystkie dotychczasowe, wytrzymałe z górą 60 strzałów; wchodzą i wychodzą po strzale z lufy swobodnie, sprzedają bez różnicy kalibru, z przesyłką pocztą w obrębie Królestwa 8 rs. setkę, 25 sztuk 2 rs. pistony Berdausa do tychże 60 kop. 250 sztuk.

Broń, rewolwery, Gilzy papierowe w ogóle Amunicję, wyrabiając sam sprzedają po cenie fabrycznej, sumienną reperacyę, przeróbki po cenie najniższej.

Pojedynki odcylcowe dla młodzieży do strzelania srebrem 18 rs. z przyborem.

Handlującym rabat.

Cenniki na żądanie franco. (52—7)

Parowa Fabryka Broni Rewolwerów i Amunicyi

**JULIANA STAPF, w Warszawie,**

**43! Nowy-Swiat 43!**

Fabryka Powozów

**J. STOPCZYKA**

Warszawa — Elektoralna Nr. 11.

52-29

52-7

# ROMUALD KRASUSKI, KRAWIEC

Warszawa — Hotel Brühlowski — róg Niecałej.

Mam zaszczyt donieść, że w celu rozszerzenia działalności i zjednoczenia interesów pod osobistym kierunkiem i nadzorem moim z dniem 9-tym Lipca b. r.

## MAGAZYN UBIORÓW DZIECIENNYCH

istniejący pod firmą „ROMUALD“

przeniosłem do Hotelu Brühlowskiego, róg Niecałej,

a jednocześnie, przy Magazynie pod firmą:

„Magazyn Ubiorów Męzkich Romualda Krasuskiego“

otworzyłem nowy Oddział

## GOTOWEJ GARDEROBY MĘZKIEJ

który zawsze zaopatrywać będę w wielki wybór odpowiedni do sezonu, z wyborowych materiałów zagranicznych i krajowych z najcelniejszych fabryk — umożliwiając przez to każdemu w jednej chwili ubranie się podług ostatniej mody, za cenę bardzo umiarkowaną.

Dotychczasowe uznanie, jakim się cieszy moja firma Ubiorów Dziecinnych „ROMUALD“, a także własna „ROMUALD KRASUSKI“ — daje mi rękojmię i nadal trwałego pozyskania od Szanownej Publiczności poparcia i względów.

3-3

Romuald Krasuski.

Znany od lat 25-ciu

## SKŁAD ZAPALEK

i innych wyrobów chemicznych, towarów toaletowych i galanteryjnych

## W. DZISIEWSKIEGO

przeniesiony został z ulicy Marszałkowskiej na ulicę Senatorską Nr. 28,  
dom p. Kaftala, wprost Kościoła po-Reformackiego.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.  
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

### MAGAZYN MEBLI

## ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoi w jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapiecerskie i dekoracje, podług najświeższych żurnali (13-3)

### MAGAZYN MEBLI

## K. Dziegielewskiego

Ś-to-Krzyżka Nr. 5.

Poleca wielki wybór mebli stylowych i fantazyjnych, oraz najświeższe dekoracje. (26-7)

## DLA PASIEK (3-2)

sztuczne plastry, Blachy odgradowe, Maski i inne narzędzia pszczelarskie

polecają

## Estreich i Podbielski

Miodowa 19, w Warszawie.

FABRYKA I MAGAZYN

## WYROBÓW JUBILERSKICH W. MOCZYDŁOWSKIEGO

przy ulicy Nowo-Senatorskiej pod Nr. 3, obok Hotelu Rzymskiego, (12-7)

poleca:

znaczny wybór gotowej biżuterii z własnej fabryki, co daje łatwość do zmiany starej biżuterii na nową, a jako z pierwszej ręki znacznie taniej. Obstalunki i reparacje po cenach niskich, najakuratniej się wykończają.

HANDEL GALANTERYJNY

## NEPOMUCENA SKUBISZEWSKIEGO

Malarza

w Częstochowie

ulica Ś-tej Barbary.

Posiada znaczny zapas obrazów w rozmaitym guście Matki Boskiej Częstochowskiej, — na drzewie Cyprysowem, Mahoniowem, Lipowem i t. p. — na Płótnie, Ceracie, Blaszce — w rozmaitych rozmiarach, od cała do dużej wielkości — oraz przyjmuje obstalunki w zakres malarzski wchodzące. (3-3)

## KRÓLOWIE POLSCY

dla młodzieży, poczet z 43-eh portretów litogr. podług rysunków T. Malleszewskiego, z tekstem, do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Roll“, w ozdobnej oprawie lub na wielkim arkuszu, cały poczet rs. 2 kop. 50. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa.

KUCHENKI naftowe, benzynowe

NAJTANIEJ

u EDWARDA DUSOGE

Nowy-Świat Nr. 5,

(Wprost Straży Ogniovej).

(6-5)

WYDAWNICTWA LUDOWE

Janka Mrówki (Jana Jeleńskiego)

- 1) Odpowiedź ciekawemu Kubie, czem dzisiejszy wieśniak być może i powinien (wydanie drugie) kop. 5 1/2
- 2) Jakby się wieśniacy mogli rządzić w gminach (wyd. drugie) „ 7 1/2
- 3) Narada z Kubą, jakby sobie radzić bez żydów „ 7 1/2
- 4) Pogadanki w karczmie „ 7

Nabywać można we wszystkich księgarniach.

Skład główny w Czytelni J. Jeleńskiego, Nowy Świat Nr. 4.

Specjalna Fabryka i Magazyn  
**BIELIZNY**

**L. GALKOWSKIEGO**

w Warszawie,  
Marszałkowska Nr. 133,  
róg Ś-to Krzyżkiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpotki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spieszenie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy król Koszul męskich.“

52—44



SKŁAD WIN (24-20)  
**J. Lijewskiego i S-ki**

Krakowskie Przedmieście Nr. 6,  
(wprost Kościoła Ś-go Krzyża).

Mianowany przez Prześwietny Konsystorz Generalny Warszawski przysięgłym dostawcą win do Ołnary Mszy Ś-tej, donoszę uprzejmie, iż chcąc godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu — zaopatrzylem piwnice w czyste i wystające wina Węgierskie, odpowiednie do użytku kościelnego i sprzedaję takowe na butelki, garnce i beczki.

Oprócz tego pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Odbiorców na wina w beczkach z zapasów dawniejszych, a mianowicie z roku 85-go — jako z ostatnich lat dla win Węgierskich najkorzystniejszego — w bogatym wyborze gatunków i smaków, odstępując takowe, przy możliwie małym zysku, po cenach hurtowych.

W końcu nadmienić sobie pozwalam, iż piwnice składu zaopatrzone są w liczne i wyborowe gatunki win Węgierskich w butelkach, tak wytrawnych, jak maślaczy, odznaczających się czystością jagody i w skutek tego zdrowych i posilających, oraz w wszystkie inne wina zagraniczne z renomowanych domów, jak Francuzkie, Reńskie, Hiszpańskie i t. d.

Szczegółowe cenniki na żądanie franko i bezpłatnie.

Zatraski do drzwi różnej konstrukcji,  
Kłódki, Łańcuchy do drzwi (3—3)  
poleca:

**EDWARD DUSOGE**  
Nowy Świat Nr. 5, (wprost Straży Ogniowej).

„GUDRONIT”

**A. Ciszewski Budowniczy i S-ka.**  
w Warszawie, Hotel Angielski.

Osuszanie wilgotnych mieszkań i budowli; niszczenie grzyba drzewnego i konserwacja drzewa. (10--10)

Krawiec (52—23)

**M. CHMURCZYNSKI**  
w WARSZAWIE

rdg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy,  
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tużurki, zakłady, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nicuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowuje, jak najakuratniej, po cenach bardzo niskich.

FABRYKA i MAGAZYN

**WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY**  
KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA  
**T. L. BREYMEYER, — Warszawa**  
Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze  
Płaszcz gumowe — Buty filcowe  
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane  
Torby myśliwskie — Futerały na broń  
Portmonetki — Puglaresy — Portcigary — Woreczki i t. p.  
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

Nowo otworzona Fabryka Polska  
**TKANIN METALOWYCH**

oraz

wszelkich Wyrobów Drucianych (52-15)  
**E. CHRZANOWSKIEGO,**  
W WARSZAWIE,  
Bielańska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krociami, cykoryi, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzelni. Wszystkie przybory pszczelnicze. Sita do konicyzyny białej i czarnej, specjalnie przezemnie ulepszone, które oczyszczają białkę, kaniankę i szczawik; za sita te, mimo konkurencji, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do konicyzyny czarnej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 30. Sita do czyszczenia wszystkich zbóż z groszku, kukułki i kostrzewy. Liny do transmisji. Materace druciane, elastyczne do łódek, arfy do ziemi i zwiru, cylindry do czyszczenia zboża i rafy, oraz wszelkie wyroby galanterijne, manekiny do upinania sukien, tak druciane jak i paryżkie od rs. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuzkie do noszenia sukien. ab ryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłobów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich

**Polski Kantor Bankierski**  
**RADZISZEWSKI i S-ka** (52-29)  
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Zatwierdzone przez rządy:  
St.-Petersburg — Wiedeń — Budapeszt.

Broszurka  
bezpłatnie



U w a g a. Proszę nie porównywać wzmiankowanego z reklamowanymi w ostatnich czasach smolarzami vel Gudronitami

„EXSICCATOR”

Osusza wilgoć w domach, zabezpiecza drzewo od GNICIA i Grzybka. Dezynfektuje. Zastępuje OLEJNĄ FARBĘ.

52-25

Inżynier Ritter, Królewska 39.

Treść numeru : Im wolno!... — Polemika w sprawie Muzeum Pszczelniczego. — Francya zżydziała (d. c.). — Opowiadanie. przez autorkę „Opowiadań“ (d. c.). — Na posterunku, feljeton Kamiennego. — Z całego świata. — Z listów do „Roli“ — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Chońskiego (d. c.).

Redaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою. — Варшава 7 Іюля 1888 г. (Drukem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)